

Co z tym dźwiękiem?

Porywający koncert Johna Portera z zespołem okazał się znakomitą finałową częścią festiwalu (w poniedziałek i wtorek odbyły się jeszcze warsztaty). Żywiotowe reakcje świadczyły o tym, że publiczność bawiła się znakomicie, a i mnie ten jeden raz nóżka ruszyła do przytupu. Ktoś przypomniał starą prawdę inżyniera Mamonia, że podoba nam się to, co znamy, ale w tym wypadku to mało powiedziane. Jedną z najlepszych polskich płyt rockowych, największe dokonanie, a jednocześnie fonograficzny debiut Portera – album „Helicopters”, obecny chyba w większości domów nastolatków w latach 80., potwierdził swoją klasę. Koncert dowiódł, że te utwory przez 45 lat się nie zestarzały, a 75-letni walijski muzyk, który zrobił karierę w Polsce, wciąż jest w znakomitej formie. Mało tego – dzięki dobrej realizacji koncertu wszystko było dobrze słychać, partie poszczególnych instrumentów, wokół jakościowo i brzmieniowo niemal nie dobiegały od wersji studyjnej.

Podobnie zadziałał występ Gavin Friday pierwszego dnia festiwalu (piątek), choć oczywiście bez nuty sentymentu i tego ładunku emocjonalnego, jaki ma historyczne dzieło Portera. Płyta „Ecce Homo” Fridaya zaistniała na żywo właściwie w skali jeden do jednego. Było to perfekcyjnie zaplanowane i dobrze wykonane widowisko muzyczne. Główną rolę grał tu oczywiście Gavin z mieniącą się brokatem łysą głową, ale kroku dotrzymywali mu towarzysząca wokalistka (obiecujący głos) w kornecie zakonniczy – charakterystycznym czepcu z rozpostartymi skrzydłami, oraz muzyk grający na instrumentach dętych. Z jednej strony trochę nie pasował do reszty „odjechanego” towarzystwa (był jeszcze chłopak w siatkowej koszulce – klawiszowiec, który od czasu do czasu obsługiwał gitarę basową), ale dźwięki wydobywane przez niego z saksofonu, oboju czy klarnetu basowego stanowiły integralną część muzycznego pejzażu współtworzonego przez instrumenty elektroniczne. Część z nich – przede wszystkim głęboki, basowy beat – odtwarzana była z komputera. Wszystko się zgadzało i wzajemnie uzupełniało. Słuchacze mieli do czynienia z artystyczną pełnią.

Nie można tego powiedzieć o otwierającym festiwal występie Mecha. Tomek Wojciechowski, łódzki gitarzysta (karierę zaczynał we wczesnych latach 80.), założyciel zespołu Jezabel Jazz, członek Blitzkriegu, znany również z gościnnych występów z Moskwą, zaprezentował materiał ze swojej debiutanckiej solowej płyty „Mechu 001”. Na nagraniu pojawiają się przede wszystkim gitary, bas, instrumenty klawiszowe oraz perkusja. Nie wiem, kto realizował wszystkie partie w studiu, ale na scenę Mechu wyszedł tylko w towarzystwie perkusisty Łukasza Klausa, również znanej postaci łódzkiego środowiska rockowej alternatywy. Pozostałe instrumenty zostały „wypuszczone” z komputera. I tak jak płyta, stanowiąca zbiór rockowo-awangardowych piosenek, jest dojrzała, ciekawa, dobrze zrealizowana, pomysłowo wyprodukowana, to koncert stał pod znakiem dźwiękowego chaosu, fałszującego wokal, nerwowego zmagania się z materią i braku zgrania muzyków. Mechu jest mistrzem oryginalnych riffów gitarowych, interesująco komponuje, pisze nie najgorsze teksty. Słuchać to na jego solowej płycie, ale podczas występów na żywo bierze górę jego skłonność do robienia dźwiękowej zady, co nie wychodzi na dobre muzyce.

Nieżyły poziom zaprezentowała pierwszego dnia Anja Huwe z zespołem w klasycznym składzie: klawisze, gitary, bas (czasem na żywo, czasem z komputera), perkusja. Znana z postpunkowego Xmal Deutschland, po przerwie niedawno wróciła do nagrywania i koncertowania. Podczas występu na Soundedit budziła mój podziw jej energia i wytrzymałość – w jednych utworach skandowała proste melodyczne teksty po niemiecku, a w innych popisywała się karkołomnymi wokalizacjami, przy czym jej głos do końca był na tyle mocny, by przebić się przez intensywnie hałasujący podkład instrumentalny. Muzycznie jednak w tym alternatywnie-popowym śpiewaniu nie było dla mnie nic

szczególnie porywającego.

Drugi dzień festiwalu (sobota) z mojej perspektywy był najmniej udany, choć przyciągnął rekordową publiczność. Najpierw na scenie pojawił się brytyjski The Chameleons istniejący od początku lat 80. To podobno jedna z najbardziej niedocenianych kapel w historii. Ich albumy zyskiwały dobre notowania, a popularność nie przychodziła. Koncert The Chameleons w Łodzi był wręcz irytujący, bo występ zdominowały gitary bardzo głośno grające brzmieniem o szczególnie intensywnych wysokich tonach. Trudno było rozróżnić strukturę utworów, harmonię, z trudem przebijał się wokalista grający na gitarze basowej. Siła gitar elektrycznych zagłuszała (wycinała) górę pasma akustycznego jego głosu, pozostawiając w głośnikach tylko środek. Efekt był taki, że brzmiał jak w kiepskim odbiorniku radiowym. Na szczęście w nielicznych momentach uspokojenia dało się usłyszeć, że nieźle śpiewa, głębokim, ciepłym głosem, a do tego utwory mają ciekawe melodie. Było to na tyle intrygujące, że po koncercie postanowiłem zapoznać się z ich nagraniami. A tu inny świat – porządne brytyjskie gitarowe granie alternatywne spod znaku The Cure i The Smiths. Rzeczywiście trudno byłoby ich docenić po takim koncercie jak ten w Łodzi. Nie rozumiem, dlaczego akustyk stojący za konsolą nie opanował tego chaosu i trudnego do zniesienia hałasu, ale może tak miało być – głośno i dobitnie.

Podobnie boleśnie hałaśliwy był ostatni tego dnia koncert gwiazdy tegorocznego festiwalu Soundedit – Fields of The Nephilim. To oni przyciągnęli tłumy do „Wytwórni” przy Łąkowej. Połowa widzów w „firmowych” czarnych koszulkach, duża część ucharakteryzowana na mroczne zjawy – białe twarze, ostry makijaż, czarne usta. Choć teksty inspirowane są magią, tajemniczością, okultyzmem, członkowie zespołu swój sceniczny image wywodzą raczej z westernu, nosząc kowbojskie kurtki, płaszcze i kapelusze z szerokim rondem. Psychodeliczna muzyka oparta jest na brzmieniu gitar, tkwi korzeniami w hard rocku i heavy metalu. Utwory Fields of The Nephilim w Łodzi zabrzmiały jak monumentalne hymny, songi rockowe śpiewane głębokim, niskim, nieco diabolicznym głosem, który był w stanie przebić się przez gitary zagłuszające wszystko inne, nawet perkusję. Współczułem fanom zespołu, którzy nie mogli przyjrzeć się swoim idolom – realizatorzy koncertu tak intensywnie puszczali sceniczny dym, że muzycy byli niewidoczni, czasem tylko we mgle pojawiał się zarys kapelusza.

Jako kompletną porażkę postrzegam wcześniejszy tego dnia (sobota) koncert polskiego zespołu 1984. To w zasadzie jednoosobowy projekt Piotra Liszcza – oparty na surowym brzmieniu syntezatora i przetworzonej gitary elektrycznej, pretensjonalny, pseudoawangardowy popis narcyzmu i pozerstwa. Do słuchania – nic ciekawego. Nieco zawiedziony byłem niedzielным występem SBB. Czuło się brak skupienia, niedbałość, prowizorkę. Miałem wrażenie, że to cień dawnego giganta, trzy indywidualności (Józef Skrzek, Apostolis Anthimos i Gabor Nemeth), między którymi nie ma już tej chemii, co dawniej. Jedynym pocieszeniem dla mnie było wykonanie tytułowej kompozycji z płyty-arcydzieła „Memento z banalnym tryptykiem” sprzed 44 lat – rockowa poezja.

Po koncercie SBB nastąpiło wręczenie statuetek Człowieka ze Złotym Uchem: perkusista Budgie (Siouxsie and The Banshees i The Creatures) otrzymał wyróżnienie za szczególną wrażliwość muzyczną (nagrodę odebrał w piątek), Dave Harries, inżynier dźwięku w legendarnym Abbey Road Studios za wizjonerskie i pionierskie rozwiązania w produkcji muzycznej, kompozytor muzyki filmowej Henryk Kuźniak za szczególną wrażliwość muzyczną oraz polska firma PSP Audioware (producent cenionych na świecie wtyczek i procesorów dźwięku) za szczególne dokonania dla produkcji muzycznej. Potem był koncert Johna Portera i wszystko skończyło się dobrze.

Bogdan Sobieszek

Zdjęcia: Małgorzata Wojna/Festiwal Soundedit